

Jan Błoński

W poszukiwaniu arcydzieła

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (10), 1-7

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Komitet
Nauk
o
Literaturze Polskiej
i
Instytut
Badań
Literackich PAN

dwumiesięcznik 4, 1973

teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY · KRYTYKA · INTERPRETACJA

W poszukiwaniu arcydzieła

Co winien mieć pod łóżkiem żołnierz, wiadomo. A co na biurku badacz literatury? Poetykę i bibliografię. Jakże bowiem mógłby badać, gdyby nie sprawdził przedtem narzędzi, którymi — niby szyfry — rozłamuje dzieła i ustawia je równymi rzędkami w bibliotece Babel? Poetyka i bibliografia są najzupełniej bezstronne. Pozwalają opisywać rozporządzenia i tragedie, sonety miłosne i druki pornograficzne. Choć gotów na przyjęcie nowości, badacz winien zatem wyzbyć się zachwyty i uprzedzeń. Zachować, przynajmniej do czasu, neutralność wobec opinii, które wydają mu się omylne albo niedorzeczne... Kto może bowiem powiedzieć, czy nie niosą intuicji nierozpoznanej prawdy? I w literaturoznawstwie istnieje zmowa — czy liturgia — naukowości. Opiera się zaś na milczącym założeniu, że najpierw się opisuje, następnie sprawdza mniemania poprzedników: własne zdanie badacza — aczkolwiek pożądane — może zostać wypowiedziane dopiero u końca uczonego procesu. Obojętne, czy dociekanie będzie genetyczne, strukturalne czy hermeneutyczne. Postępować powinno zawsze od przesłanek do wniosków: natomiast ostateczna ocena musi wypływać z bezosobowej analizy. Podobnie jednak jak żołnierz sieje w boju nieporządek, tak żądanie neutralności — zasadne w założeniu — musi w praktyce pozostać urojeniem. Jest kłamstwem, co prawda użytecznym i pedagogicznie niezbędnym. Nikt nie poświęca swego trudu nieznanym.

Książka, o której piszę, jest z reguły oceniona. Przez profesora, który doradził mi podjęcie tematu. Przez podręcznik, który jednego pisarza uhonorował garmondem, drugiego pohańbił petitem. Przez polityka, który właśnie przeciął wstęgę albo odstonił pomnik. Przez kolegów, przyjaciół, którzy przed Iksem palą świeczki, wyszydają zaś Igreka.

Czasem także przeze mnie... Już więc w wyborze tkwi nieuchronnie ocena. Ale i przez analizę prześwieca zawsze osobisty stosunek do tekstu. Cóż by się okazało, gdyby sprawdzić uczuciowe konotacje fachowych terminów, używanych przez badaczy! W ulubionym autorze dostrzegamy to, co najwyżej cenimy. Wmawiamy mu cechy, które są — współczesne — najbardziej skuteczne estetycznie. Tak rodzi się zjawisko «przeinterpretowania». Naborowski objawia się niemal Eliotem, Słowacki Rilkiem a Reymont Hamsunem. O Szarzyńskim zamilczę... Uczone oko sypie — choćby nieświadomie — iskrami gniewu albo zachodzi mgłą rozczulenia. Piszę o Kitowiczu, bo zabawny. O Norwidzie, bo mądry. O Gałczyńskim, bo — jako zakochany sztabak — przepowiadałem sobie jego wiersze... Ocena może być przyjęta z opinii, tradycji, ukształtowana w przeszłości albo wywiedziona z aktualnych gustów. Może być jednostkowa i maniacka, może także rodzić się z mgławicy plotek i anegdot środowiska. Ale zawsze uprzedza i ukierunkowuje późniejsze rozważanie. Czytelnik ocenia i gani odruchowo, spontanicznie. A przecie na początku byłem po prostu czytelnikiem. Trafiają się — na szczęście — uczeni, których zajmują twory nieudane i pokraczne, płody niedouczonej wyobraźni i koślawego sentymentu. Ale i oni odnoszą się, choćby implicite, do wysokiego wzoru, potwierdzając tak pierwszeństwo oceny o wartości. Chyba, że utoną zupełnie w antykwarycznym kolekcjonerstwie albo w socjografii oczywistości.

Dlatego myślę, że — inaczej niż w życiu — w krytyce piękne bywają głównie dzieci rodziców ogarniętych namiętnością. Obojętność zamula umysł i wyciera znaczenia z kart książek. Po to w końcu powstały arcydzieła, aby się nimi zajmowali badacze... jeżeli już nie czytelnicy. Pytanie, czy i dlaczego Słowacki był wieszczem, długo jeszcze — wbrew Gombrowiczowi — pozostanie aktualne. Tekst nie czytany, nie kochany (nie drażniący!) przestaje się mienić znaczeniami. Traci smak, blask, głębię, przestaje opalizować i wieloznaczyć. Zapewne, przenikliwość nie zawsze idzie w parze z dobrymi uczuciami. Z gorczy i nienawiści powstawały także (choć rzadziej) znakomite

książki krytyczne, np. «Beniaminek». Ale ta nienawiść była jeszcze zawiedziona miłością. Jeśli nie do autora, to do dzieła, które w sobie nosił, i — zdaniem polemisty — zmarnował. Albo przynajmniej do dzieł, które zaćmił... Dlatego — nawiasem mówiąc — można się dziwić, czemu tak mało poświęca się trudu największym (od Mickiewicza poczynając). Jest sporo książek o Gałczyńskim, o Leśmianie niewiele. Zaś o Norwidzie szkoda mówić. Gdybyśmy mu chociaż tyle poświęcali uwagi, ile przedpozytywistycznym powieściopisarzom.

Czyżby więc badacz nie powinien wstydzić się łez? Powiedzmy raczej, że powinien obcierać je ukradkiem. Z właściwą sobie złośliwą dyskrecją opisywał niedawno Sławiński «strategie» współczesnego uczonego, skołowanego nadmiarem problemów i metod. Wszystkie rodzą się z poczucia niepewności, co tu dużo mówić — ze strachu. Bo albo młodszych się boimy, co nas wysmieją i przegonią, albo mitycznych starców, którzy wszystko przeczytali, zrozumieli, skojarzyli... Sławiński myślał o lęku wewnątrz danej dyscypliny. Ale istnieje także strach przed literaturą, zwłaszcza nowszą. Obojętność nie jest wtedy oschłością serca, ale odruchem obronnym. Po co oceniać, przebierać, skoro się można pomylić, narazić, zblażnić... Takie ostrożności porażają. Człowiek we łzach widzi źle, ale człowiek bez serca nie widzi nic. Maskuje tylko obiektywizmem własną zależność od poprzedników. Zwłaszcza teoretycy lubią udawać, że obywają się bez wartościowania. Dlaczego jednak opierają swe wywody na arcydziełach? Czemu nie badają — losowo — grafomanów i geniuszy? Zapominają (albo raczej udają, że zapominają), że warunkują swe rozważania wstępną selekcją, której dokonali odważniejsi. Obojętność nie jest zresztą przywilejem uczonych rozszczepiaczy. Albowiem po każdym roztrząsaniu poznać — nieraz wbrew autorowi — co czuje on i myśli o przedmiocie badania. I najbardziej bełkotliwe i patetyczne wezwania do świętych — narodowych czy socjalistycznych — nie potrafią ukryć, jak czcigodni dydaktycy i wychowawcy nudzą się nad książkami, które zachwalają pracowitej działości i poczciwym czytelnikom.

Wszyscy zatem szukamy arcydzieła. Chcemy paść przed nim na kolana albo odbudować w sobie. W ostateczności — wmówić w książki, które badamy. Jak wiosna musi wiosnować, tak badanie literatury odsyła do najpierwszych fascynacji i prowadzi do rozkosznej kapitulacji przed arcydziełem. Można to później wyjaśniać wrażliwością epoki, przemianami społecznymi albo odłączeniem od piersi. Lecz nie

myślę teraz o żądaniu «dobrego smaku», żądaniu, które służy najczęściej za alibi nieuctwa albo dowolności. Świadoma aksjologia krytyczna rzadko bywa naprawdę interesująca. Krytyka «oceniająca» — taka, która pragnie bezpośrednio służyć informacji i pouczeniu czytelnika — należy zwykle do najmniej ciekawych i najbardziej mylących. Nic dziwnego: ulega naciskowi odbiorcy, przeciętnej publiczności kulturalnej, do której mówi. Co innego wybory nieświadome czy półświadome, utopione w proces badawczy, w wytwarzanie narzędzi, w zabiegi klasyfikacyjne... Tam właśnie — wbrew pozorom — najgłębiej wyraża się osobowość badacza. Gdyby uczeni — przynajmniej uczeni przeszłości — cieszyli się w Polsce autentycznym zainteresowaniem, gdybyśmy mieli, jak Anglosasi, biografie fizyków, matematyków, językoznawców, lepiej umielibyśmy czytać związki «czystej myśli» z jej uczuciowymi, kulturalnymi, moralnymi przesłankami czy warunkami. A co dopiero w przypadku literaturoznawców!

Lecz gdzie są dzisiaj arcydzieła? Od odpowiedzi zależy praktycznie spojrzenie na literacką współczesność. Bo przecież arcydzieła to punkty orientacyjne, triangulacyjne wieże kultury. Ze wyznaczają gust epoki, to jeszcze głupstwo; kiedy go sobie uświadomimy, zaczyna zwykle umierać. Ale i proces literacki rozumiemy na ogół dzięki książkom najwybitniejszym. Jakich pisarzy uznamy za arcydzielnych, taką będziemy mieć literaturę — kraju czy okresu. Szczególnie drastycznym przykładem jest międzywojenne dwudziestolecie. Porównajmy przeglądy, podręczniki. O jakiej właściwie mówią literaturze? Czy to możliwe, aby jedna i ta sama rozwijała się raz od «Przedwiośnia» do Kruczkowskiego, raz od Staffa do Uniłowskiego, raz od Witkacego do Gombrowicza?

Coraz szybciej starzeją się nam arcydzieła — zanim nawet potrafimy je uchwycić i nazwać. Literatura trzydziestu niemal lat Polski Ludowej dojrzewa powoli do reewaluacji. Od «Niepokoju» i «Popiołu i diamentu» minęło już prawie tyle lat, co od «Quo Vadis» do «Nocy i dni». Pomyślmy pół żartem: jakie były arcydzieła ostatnich ćwierćwieczy? W minionym stuleciu ostatnie miało «Lalkę» (której niezwykłość — zwłaszcza wewnątrz twórczości Prusa — nie objawiła się bynajmniej od razu) i «Trylogię» (która, przeciwnie, od narodowej epopei spadała później stale do rangi powieści młodzieżowej). Następnie — jeśli nie «Popioły», to zapewne «Wierną rzekę» — i «Chłopów». Zawsze Nobel... A Polska niepodległa (ale myślę co-

raz częściej, że czas na inną, niż stricte polityczną, periodyzację naszej literatury...)? Rodziły się wtedy arcydzieła dojrzewające bardzo szybko i bardzo powoli. «Noce i dnie» uważa się do dzisiaj — nie tylko w szkole — za monument prozy dwudziestolecia. A przecie, gdyby pisarzy porównać do biegaczy, bliżej laurowego wieńca byłby dzisiaj Witkacy czy Gombrowicz.

Gdzie jest arcydzieło ostatnich lat trzydziestu? Oto pytanie. Przyznaję, że zbija mnie z tropu. Nie wiem, nie wiesz, nie wiemy. Statystyka — i zdrowy rozsądek — powiadają, że gdzieś wśród tysięcy książek, co tłoczą się na półkach biblioteki, winno skrywać się takie, któregośmy nie ukochali i nie zrozumieli należycie. Ale gdzie ono? Czy wśród tych, co — jak «Na wsi wesele» lub «Popiół i diament» — cieszą się od narodzin poczytnością i podziwem? Czy tych, które — jak «Szekspir», «Rynek» czy «Urząd» — starały się dotrzymać kroku zdarzeniom, towarzyszyć historii z entuzjazmem, cierpieniem czy krytycyzmem... albo wszystkimi trzema naraz? Lecz może tacy pisarze góraj, którzy, jak Kuśniewicz czy Nowak, zaszyli się w przeszłości, wglębili w to, co — wchłonięte w dzieciństwo — przerosło w najbardziej spontaniczne i najmniej świadome natręctwa i upodobania? Lub w końcu — czy nie outsiderzy, dziwacy, poeci tworzą najłatwiej arcydzieła w czasach, kiedy aktualność i społeczność szaleją czy kapryszą? Jeśli tak, to którzy? Czy «Pierwsza świetność» jest nowym «Sanatorium Pod Klepsydrą»? A Białoszewski arcy mistrzem, który najskromniejsze — niejako infrahistoryczne — połączył z najbardziej wyrafinowanym? Całkiem możliwe.

Lecz możebne również, że ostatnie lata żadnego arcydzieła nie przyniosły. Byłoby to osobliwe, ale niewykluczone. Czyja to byłaby wina? Powieści jako gatunku, który nie potrafi zmieścić współczesnego doświadczenia? Okoliczności, które wprawiały pisarzy w zadyszkę i pomieszanie? A może po prostu — przypadku? Jesteśmy teraz w sytuacji, kiedy każda ocena wydaje się równouprawniona. Tym bardziej, że do rozsądzania zabiera się pokolenie, które nie pojmuje już dobrze ani uwarunkowań przeszłości, ani ulgowych taryf czy ratowniczych szanńczyków. Przykłady: nie atakuj Czeszki, będziesz źle widziany. Nie napadaj na Andrzejewskiego, powiedzą, żeś świnią. Nie gadaj na Rudnickiego, okrzyczą cię antysemitą. A jak na Putramenta nawarczysz... Pamiętamy także, pamiętamy, że pisarze lubili korzystać z czasu ochronnego; nieraz zresztą wyrywali niespodziewanie z chronionego obszaru. Byłoby więc złudzeniem albo bzdurą myśleć,

że to pokolenie — nie ze złośliwości przecie, ale z konieczności — nie przeprowadzi radykalnej rewizji ocen, do których przyzwyczaiła nas nieruchawość literackiego życia. Pisarze bowiem zmieniali — aż za często — pozycje, ale nader rzadko zmieniała się — «pozycja» pisarza w literaturze.

Przyznam, że myślę bez przykrości o tym, że w tym przeglądzie powieści każdy prawie znajdzie dla siebie coś przykrego lub przynajmniej zaskakującego. Pozwolę sobie jednak od razu powiedzieć, jak powstał i czemu miał służyć. Jeśli nie ułatwi to zgody, może przynajmniej rozwieje nieporozumienia. Omówić raz jeszcze ze dwadzieścia powieści, które po wojnie wywołały najwięcej hałasu. Takie było pierwotne założenie: lecz właściwie niewykonalne. Bo tylu pisarzy pisze stale jedną książkę i jaki teraz tytuł wyróżnić. A tylu znowuż zmienia się co pięć lat — od stóp do głów, od metafory do światopoglądu — i trudno już powiedzieć, co najbardziej znamiennego napisali. Jednak ani w ocenach, ani w pominięciach nie ma nic, co byłoby wynikiem zespołowej kalkulacji albo ambicji kształtowania środowiskowej opinii. Oddaliśmy po prostu głos... nie krytykom nawet, ale przeważnie — badaczom literatury, głównie młodym czy najmłodszym. Niechaj i oni zakosztują rozkoszy ryzyka. I smaku porażki, jeśli za kilkanaście lat będą czytać swe uwagi ze złością.

Bądźmy jednak uczciwi. Były książki, do których nie chcieliśmy szukać krytyków... i było sporo takich, do których nie zdołaliśmy znaleźć oceniaczy. Jedne — mimo niewyraźnej sympatii — nikogo w końcu nie zaciekawiły, innych zaś — podejrzewam — trochę się obawiano. Bo powieści także egzaminują krytyków! Jeśli więc odstąpiliśmy także własną słabość czy niezdarność, i to także — aczkolwiek z żalem — moglibyśmy poczytać sobie za redakcyjną zasługę... Czy nie za ostrożna bowiem nasza krytyka? Czy nie w kiedelach lubi chadzać? Czy nie brakuje jej odwagi, fantazji? Od paru lat utrwalił się w czasopiśmie zabawny obyczaj. Kiedy młody recenzent chce zdobyć trochę rozgłosu, urządza skandal: «rozrabia» znanego pisarza. Ale nigdy niemal nie można — poza aktualnymi argumentami — rozeznać innych niż taktyczne przyczyn tej naglej napastliwości. Przychodzi więc potem doświadczony ustawiacz, który znowu — cieniując oceny tak starannie, aż przestaną cokolwiek znaczyć — stawia lekko poturbowanego pisarza na piedestał. I wszystko wraca do starego porządku. Praktyka skuteczna najwyżej towarzysko. Nie takie laury mamy na widoku. Właśnie zapaść aksjologiczna — rozsiew i niezbor-

ność ocen — przyczynia się do krytycznych porażek bardziej aniżeli niedostatki metody albo zawijasy koniunktury. Po prostu nie wiemy, gdzie są główne wartości prozy ostatnich lat trzydziestu. Ale trudno się nam z tym pogodzić, że nie wiemy.

Jeszcze raz: w nikogo nie wmawiamy, żeśmy przejrżeli wszystko co najważniejsze. Ani też, że oceniamy najtrafniej. Każdy za siebie tylko odpowiada. I na pewno roi się tutaj od pomyłek, urojeń i... oczywistości. Nie można jednak uchylać się dalej od odpowiedzi i ocen. Tylko nielicznych los zostawia na drugie życie, jak — mówiąc słowami Tuwima — na drugi rok w tej samej klasie. I nie wiadomo nawet, czy bardzo im to smakuje... Jedno jest wszakże pewne: przypomnienie, że akt krytyczny jest najpierw ryzykiem. I coś jeszcze. Przez trzydzieści lat nasza proza szukała sobie miejsca i porządku. I umiała wypraszać — och, jak często! — odroczenia i pobłażania. Dobrze to czy źle, ale nadchodzi... nadszedł już chyba czas próby.

Jan Błoński